

Czesław Mirosław Szczepaniak
poeta, prozaik, felietonista, antologista

Biblioteka

1.

Urodziłem się w domu, w którym była tylko maleńka książeczka do nabożeństwa i książeczka opłat za światło. Tylko dziadek miał Nowy Testament, nad którym się pochylał, żeby go mole nie strzygły. Pierwszą książką, jaką miałem w ręku, był *Elementarz* Mariana Falskiego. Na nim uczyłem się czytać. A poza tym *Express Wieczorny* (popołudniówka). Książka kojarzyła mi się z podręcznikami, jakie nosiła do szkoły moja siostra. Mini biblioteka w tornistrze.

Pierwszą książkę przeczytałem w szpitalu. W białych ścianach zobaczyłem pierwszą bibliotekę, którą miała *Ciocia Enia* (wychowawczyni z sanatorium Zagórze k. Starej Miłosnej). Z książką spędzałem sporo czasu, żeby czas po zabiegach się mi nie dłużył. Moi chorzy koledzy bardzo dużo czytali.

Dopiero, kiedy spotkałem magistra polonistyki Stanisława Grabskiego, który nas zaraził literaturą, wpadłem w nałóg czytania. Pan Grabski potrafił o książce opowiadać ze smakiem. Ba! Raz mnie zaprosił do swojej dużej biblioteki. Wyjmował książkę i radził, żeby do niej dołączać recenzje, które ułatwiają jej zrozumienie. Biblioteka mojego nauczyciela zrobiła na mnie wrażenie. Była wzorem, jak tworzyć księgozbiór. Długo nie mogłem ochłonąć po tej wizycie. Wtedy to zamarzyłem sobie, żeby mieć taką bibliotekę, jaką ma pan magister Stanisław Grabski, absolwent filologii polskiej.

Zacząłem kupować książki o chorobach, żeby zrozumieć swoją chorobę. Była to literatura piękna. Z tymi książkami peregrynowałem poprzez internaty, bursy, akademiki. Na wakacje je ścigałem do domu dzieciństwa. Leżały na kupie.

Dopiero, kiedy zamieszkałem na Ursynowie, udało mi się nabyć paździerzowe płyty, z których powstała moja pierwsza biblioteka. Przybywało książek, które w owych latach, przynajmniej, kupowałem „spod lady”. Wyginały się regały. Pękały półki. Nieraz spadały książki na ziemię. Rosła biblioteka wzdłuż i wszerz. Biblioteka stwarzała zagrożenie, niestety.

Dopiero w wieku męskim dorobiłem się solidnej biblioteki. Na całą ścianę. Z półkami jak w archiwum. W jej cieniu siedzę sobie i rozmyślam. *Nie żałuj, że nie spełniły się twoje marzenia; pożalowania godnym jest tylko ten, kto nigdy nie marzył* (Marie von Ebner-Eschenbach).

2.

Biblioteka w moim dużym pokoju. Mam książki poukładane w kolejności alfabetycznej. Dzieła wielkich i białe kruki, znani i mniej znani. Święci i bluźniercy. Codzienni i ci, którzy dawniej świecili blaskiem, a dzisiaj tacy przygaszeni. Nie wszystkie książki przeczytałem, ale każdą z nich przyniosłem. Nieraz musiałem sobie odjąć od ust smaczniejszy kęsek, żeby je kupić. O każdej książce mogę coś powiedzieć. Wiem, gdzie leży. Jak wygląda. Dawniej zakreślałem książki i podpisywałem. Dzisiaj już nie jestem taki barbarzyńca. Dzięki zbiorowi, rzadko korzystam z innych bibliotek. Czytam bibliotekę: grzbiety książek w kurzu płoną na tyłach ścian, pełne ognia drzemią. Aha! Z grzbietów książek można się przekonać, że bywam w dobrym towarzystwie. Książka wyostrza mój apetyt.

Kiedy się ktoś dziwi, że mam tyle książek, cytuję: *W bibliotece czujemy się jak w otoczeniu kapitału, który wytwarza bezszelestnie nieobliczalne odsetki* (Johann Wolfgang Goethe).

3.

Moje marzenia o tym, żeby mieć bibliotekę spełniły się i nie czuję smutku, jak po spełnionej baśni. W moim domu, pod dachem z wielkiej płyty, były aż trzy biblioteki: moja, córki Ani i żony *Graszki*. I to w M3, na 47 m². Czasami dochodzi do niesnasek. Wypożyczam córce książki, i potem mamy do siebie pretensje, że tak się ociągamy z ich oddaniem. Dziwne to, bo dzisiaj kłótnie wynikają, kto ma pilota do telewizora, a u nas zupełnie inaczej. Mój dom przypomina czytelnię. Każdy sobie w swoim kąciku siedzi nad książkę albo zwątką gazet.

Czytam. Z latami powiększa się grubość szkieł w okularach. Muszę się wyklócać z okulistką o dodatkowe dioptrie, co nie najlepiej o mnie świadczy. Nic na to nie poradzę, że w chwilach wolnych lubię *czytać, aż rzęsy ze zmęczenia cichutko się rozdzwonią* (Elias Canetti).

4.

Książki zszyte, klejone. W miękkich i sztywnych okładkach. Światło druku, zamknięte w czcionkach. I kiedy wyciągam dłoń po książkę, to jakbym oddawał hołd Johannesowi Gutenbergowi (1399-1468). Przypomnę, jak wygląda sygnet rodowy ojca drukarstwa: na tarczy żebrak z miseczką proszalną.

Moje książki latami zbierane. Powracają do mnie książki, które sprzedałem, gdy życie nas tak przycisnęło, że martwił się za co jutro kupimy chleb.

Biblioteka – niemy świadek drogi, jaką przeszedłem i przechodzę. Nie da się tego ukryć, że nie ugasilem pragnienia *światłem druku*. Mam książki, które można czytać *od deski do deski*, co wcale nie znaczy, że są pisane drewnianym językiem.

Cóż jeszcze mogę dodać?

Chyba tylko to, że *Wszystkie książki można podzielić na dwie grupy: książki na chwilę i na każdą chwilę* (John Ruskin).

Z dawien dawna pozostało jeszcze marzenie. Chciałbym sobie obstalować taką drabinę, żeby móc wejść po szczebelkach. W górę, gdzie szczyt biblioteki. Wspinać się na górne półki biblioteki, gdzie *Pomarszczone owoce drzewa wiedzy – stare książki* (George Eliot).